



STANISŁAW MAJDAŃSKI – JAK SIĘ WIDZĘ, JAK SIĘ PAMIĘTAM*

Środowisko tworzą różne elementy. Na pewno osoby, osobowości, a także struktury, idee w nim głoszone, oryginalne, choć nie tylko. To wszystko wytwarza jakąś więź poprzez intergeneracyjnie osiąganą tradycję. W zakresie badań i studiów Wydział pomyślany był doskonale, chyba w wyniku doświadczeń skądinąd, głównie zapewne ze Lwowa, a wcześniej z Louvain, bo na mocy idei stamtądających powstał nasz Uniwersytet, także nasz Wydział Filozofii.

DZIECIŃSTWO

Urodziłem się 8 maja 1935 roku we Włocławku, jako syn Walentego Majdańskiego i Reginy z domu Nita. Ojciec mój, z zawodu nauczyciel, był wówczas sekretarzem generalnym Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej na diecezję włocławską i prowadził ożywioną działalność społeczną i publicystyczną w duchu katolicko-narodowym. W roku 1935 rodzice przenieśli się w okolice Warszawy, najpierw do Piastowa, tam urodził się mój brat Jan Ładysław (w roku 1937), potem do Marysina Wawerskiego, gdzie (w roku 1939) urodziła się siostra Elżbieta Dąbrówka. Tam zastała nas wojna. Pamiętam syreny i początek bombardowań.

W pierwszych dniach wojny udaliśmy się wszyscy na wschód, do rodziców mojej matki, na Polesie, do Dywina w powiecie Kobryńskim. Ojciec wrócił do Warszawy do pracy. W wyniku paktu Ribbentrop–Mołotow rodzina nasza została na długo rozdzielona. Na Polesiu nastała władza sowiecka, a 10 lutego 1940 roku zostaliśmy deportowani na północ ZSSR wraz ze wszystkimi członkami rodziny Nitów, którzy wówczas znajdowali się w domu. Byli to, oprócz nas – to znaczy: mamy, brata, siostry i mnie – także nasza prababcia Marcjanna Nita, dziadek Stanisław, babcia Józefa, siostra mamy Maria i brat mamy, jeszcze nieletni Tadeusz. Po czterdziestu pięciu minutach wyznaczonych przez NKWD na przygotowanie się do drogi w nieznane wywieziono nas na saniach, skoncentrowano z innymi rodzinami w szkole, przewieziono na stację i załadowano do wagonów towarowych. Od tego czasu ciągle marzliśmy. Jechaliśmy długo (z dłuższym postojem na granicy), cały czas zamknięci i bacznie pilnowani przez uzbrojonych konwojentów. Pamiętam nary [prycze],

* Tekst opracowany przez Kazimierę Majdańską na podstawie rękopisu męża (z ok. 2015-2018 roku) znajdującego się w archiwum domowym.

mały żelazny piecyk i okropne warunki sanitarne. Po drodze zmarła nasza prababcia, której ciało wyrzucono z pociągu gdzieś na postoju, w okolicach Wołody.

Wyładowano nas w końcu lutego w okolicach Archangielska, na stacji Chołmogorskaja. Stamtąd przywieziono nas saniami na położony wśród lasów posesiołek Wodopad. Były to skądinąd bardzo piękne strony, ale nie był to czas na obserwacje przyrody. Wszyscy dorośli lub prawie dorośli musieli zaraz iść do pracy w lesie, nisko płatnej i bardzo wyniszczającej, nieraz daleko od rodzin w Wodopadzie. Mama też pracowała przy wyrębie lasów – wycinaniu drzew, ich obróbce, zwożeniu i spławianiu. Rzadko przychodziła do nas do domu (jednej izby w baraku z okrągłaków, z robactwem wszelkiego rodzaju). Przychodziła na kilka godzin i wracała zawsze nocą, wśród wielu niebezpieczeństw. Baliśmy się o nią, ale bardzo jej oczekiwaliśmy. Trwało to do umowy Sikorski–Stalin (Majski). W Archangielsku powstała wtedy delegatura polskiego poselstwa; było trochę pomocy, a jeszcze więcej nadziei na lepsze jutro.

W roku 1941 w ramach umowy Sikorski–Majski z 30 lipca tegoż roku wyjechały z posesiołka prawie wszystkie polskie rodziny. Tylko dwu rodzinom zatrzymano dokumenty, w tym naszej.

Było to dla nas niezrozumiałe (szczególnie dla ojca, który ciągle starał się na różne sposoby wydobyć nas stamtąd; ktoś nam powiedział o liście z ambasady, który nadszedł i został zatrzymany przez NKWD). Do tego czasu nasza rodzina zmniejszyła się – w listopadzie 1940 roku zmarł dziadek Józef, w grudniu 1941 roku – siostrzyczka Elżbieta, a siostra mamy Maria zdołała jakimś sposobem dostać się do Iranu z wojskiem generała Andersa. Gdy w czerwcu 1942 roku zmarła babcia Józefa, mama postanowiła uciec z Wodopadu z nami dwoma i bratem Tadeuszem. Udało się nam przedostać do Archangielska, mimo że ten był ciągle przez Niemców bombardowany i był na prawie wojennym. Dobrzy ludzie jakoś pomogli – pamiętam szczególnie Zdzisławę Wójcik, sekretarkę Delegatury Rządu RP (wróciła do Warszawy, zmarła w 2018 roku w wieku 103 lat) i porucznika Jerzego Szwałkę z oddziału polskiego stacjonującego wówczas w Bakaricy pod Archangielskiem (a także zastępcę delegata rządu Witolda Kuczyńskiego, również zesłańca, znanego mi ze słyszenia). W Archangielsku zacząłem uczęszczać do szkoły, do której chodziłem dwa lata. Uczyłem się bardzo dobrze, zostałem nawet wytypowany do pionierów, ale natychmiast odmówiłem, oświadczając, że jestem Polakiem.

W roku 1943 przetransportowano nas (i wielu Polaków) na południe, staniem Związku Patriotów Polskich, który przejął nad nami władzę po zamknięciu Delegatury (po Katyniu). Znaleźliśmy się w okolicach Saratowa (rejon Krasnyj Kut), na terenach dawnej kolonizacji niemieckiej (osiedlonych tam Niemców wywieziono na wschód, gdy zbliżały się wojska niemieckie),

w miejscowości Polianskaja Dolina (przedtem Schönthal). Mama pracowała, jak prawie wszyscy, w sowchozie Polianskim, a potem w ZPP, bo tylko ta forma pracy wśród Polaków i dla Polaków była możliwa.

W Saratowskim było znacznie lżej materialnie. Wychowywaliśmy się wśród wielonarodowości – formalnie poprawnie egzystującej, a faktycznie skłóconej, co najlepiej potwierdza dziecięca świadomość i jej pamięć do dzisiaj – i wspaniałej przyrody, dzikiej i hodowlanej: konie, wielbłądy, woły robocze, kozy, owce, wszędzie step o smaku piołunu (burzanów). I władza sowiecka wśród tego, nad tym. Kiedyś miejscowa „part-org” (szef organizacji partyjnej) Karatiewa – widzę ją oczyma pamięci – zebrała nas w dwuszeregu, by wypowiedzieć się w sprawie religii, bo oto rozrzucono święte obrazy z odnośnymi napisami. Nie wiem, jaka była świadomość tej zróżnicowanej młodzieży, dzieci, ale myśmy wiedzieli swoje i tylko zdaliśmy sprawę mamie z tego zdarzenia. Polacy byli w zasadzie, jak to i dziś oceniam, w porządku. Niektórzy tylko czasem byli trochę zruszczeni (na przykład mówiąc „łasteczki” i „skwarce”, zamiast „jaskółki” i „szpaki”). Żydzi byli różni, tradycyjnie religijni albo bezwyznaniowi.

W przygotowaniach do „repatriacji”, do powrotu do Polski, mama brała aktywny udział. Tuż przed ich zakończeniem wezwano ją do Saratowa, by załatwiła jakieś formalności, i już nie wróciła. Mielśmy nadzieję, że dołączy po drodze, jednak wejście NKWD do naszego wagonu podczas postoju w Saratowie wyjaśniło wszystko. Odebrano nam torebkę mamy ze wszystkimi dokumentami, ale pozwolono nam na wyjazd pod opieką Polaków (Marii Fortuny i jej siostry Marii, które mieszkały w Polianskiej Dolinie razem z nami). Wtedy to formalnie stałem się „głową rodziny”. Mama została aresztowana i uwięziona. Później, w roku 1955, po powrocie mamy do Polski, dowiedzieliśmy się, że zażądała w śledztwie naszego powrotu do ojca, co dla śledczych było, jak oświadczyli, stwierdzeniem braku zaufania do władzy sowieckiej. Na szczęście przedarli się do mamy dwa telegramy od ojca (znamienne, że z Częstochowy, gdzie współpracował między innymi z paulinami), które potwierdzały, że ojciec żyje w Polsce i dzieci mogą zostać wypuszczone.

Dojechaliśmy do Poznania, skąd było najbliżej do Częstochowy (stamtąd wysłany został ostatni telegram ojca). W Poznaniu przyjął nas Państwowy Urząd Repatriacyjny, tam też znalazł nas ojciec, który nie mógł pogodzić się z tym, że nie ma z nami matki. Rozpoczęły się próby odnalezienia kogoś, kto ją już po rozstaniu z nami widział, różne starania dotyczące odnalezienia miejsca jej pobytu i o jej powrót. Ojciec zajął się naszym wychowaniem religijnym i przygotowaniem do szkoły (w ZSSR ukończyłem trzy klasy szkoły powszechnej, chyba tylko w trzeciej klasie była szkółka polska z podręcznikami przygotowanymi przez ZPP). Najpierw ojciec zawiózł nas do Jabłonowa Pomorskiego (za sprawą zaprzyjaźnionego ks. Lucjana Dambka, który

przechowywał się w czasie wojny u felicianek w Warszawie), tu leczył nas, odkarmił, przygotowywał do pierwszej Komunii Świętej i do szkoły polskiej (co dzień byliśmy na Mszy Świętej u pasterek, w ich siedzibie macierzystej – zamku Ogińskich). Potem była już Warszawa: przejściowo Niepokalanów (gdzie ojciec wydawał swoje teksty i książki) i Gołębki pod Warszawą, gdzie chwilowo chodziliśmy do szkoły, by uzyskać świadectwo (kierowała szkołą Władysława Podwysocka, chrzestna mego brata). Po przygotowaniach przez ojca uzyskałem w Gołębkach świadectwo ukończenia szóstej klasy szkoły powszechnej. Szkołę powszechną (podstawową) ukończyłem w Wawrze, zapisując się potem do Wawerskiego Liceum w Aninie, wówczas pod Warszawą. Nie kontynuując tego wątku, dodam tylko, że maturę w liceum wawerskim uzyskałem w roku 1952. Dostałem się tam za dyrektoriatu dr Zofii Mianowskiej, „z tych Mianowskich” (niebawem usunięto ją i przeniesiono do ministerstwa – takie były paradoksy – by nie miała wpływu na młodzież).

Trzy lata później powróciła z zesłania na Syberii matka (po więzieniu w Saratowie więziona na Łubiance, skąd zesłano ją na pięć lat do Krasnojarskiego Kraju – początkowo przebywała w Krasnojarsku, a następnie w Abakanie). Po piętnastu latach zsyłek i więzienia wróciła prywatnie, własnym staraniem, nie korzystając z dobrodziejstw żadnej repatriacji (nie skorzystaliśmy z tego i my z bratem, mimo że byliśmy „repatriowani”). Jawne kontakty z tymi, którzy przeżyli wojnę, były na nowo podejmowane, w warunkach trudnych już inaczej.

MÓJ UNIWERSYTET

Co robić po maturze, to był problem. Mama była jeszcze na zesłaniu, a ojciec – wciąż podejrzany i zwalczany przez władze (i nie tylko), z ich punktu widzenia słusznie. Zajmował się problematyką z pogranicza demografii i etyki, jego zdaniem kluczową dla Polski – zdał sobie z tego sprawę w międzywojniu, a wzmocnił swoje przekonanie w czasie okupacji. Nie miałem szans na studia w państwowej uczelni, chyba że zapisałbym się na wydział techniczny, jak większość moich kolegów, by zarabiać i – formalnie – budować Polskę Ludową w ramach politechnizacji kraju, w imię odbudowy i rozbudowy (co było odbiciem hasła Lenina: władza rad to komunizm plus elektryfikacja – czy ogólniej – uprzemysłowienie kraju).

Miałem różne zamiłowania i nie dość jasne plany. Z domu wyniosłem zamiłowanie do etnologii, antropologii, etyki, a także historii i problematyki światopoglądowej, związanej z religią. Miałem też predylekcje rodzinne do leśnictwa (w sferze dalekich marzeń – las kojarzył mi się jeszcze z chłopcami „z lasu”, nie było to wtedy bezpieczne). Czasem przemykało przez myśl nauczycielstwo, może nieśmiało seminarium nawet. W rodzinie ze strony ojca

ujawniały się zdolności malarskie, najsilniej właśnie u ojca – takie niezrealizowane powołanie, zamienione na coś, co jego zdaniem było dla Polski ważniejsze (choć ciągle pamiętał ideę podnoszenia serc przez sztukę). Nie było wyraźnych nacisków ojca na mój wybór studiów; mając pełne zaufanie do syna, nie skłaniał go do niczego.

W tym stanie rzeczy udałem się do zaprzyjaźnionych z moją rodziną Zofii i Zygmunta Kamińskich. On był profesorem rysunku na politechnice, jakoś się tam trzymał. Ona miała pracownię rzeźbiarską na Myśliwieckiej, gdzie mieszkali i gdzie bywaliśmy, podobnie zresztą jak u Grabskich, Dobraczyńskich czy innych z tej sfery. Zosia, głęboko religijna (choć niegdyś, podobnie jak jej mąż, obracała się w niezbyt religijnym środowisku w Paryżu) sprawdziła moje zdolności rzeźbiarskie. Wypadło nadzwyczaj pozytywnie, ku mojemu zdziwieniu, bo chociaż jeszcze w Rosji ujawniły się pewne moje sprawności techniczno-manualne, to nigdy nie zajmowałem się stricte rzeźbą. Zygmunt przyjął mnie bardziej surowo i z pewną rezerwą (może myślał, że pragnę protekcji przy jego niepewnej sytuacji na politechnice, ale na to byłem zbyt ambitny). Po obejrzeniu moich prac oświadczył, że owszem, zdolności są, ale nie wiadomo, czy przetrwają i rozwiną się. Niemal się obraziłem.

W każdym razie sprawę odłożyłem; ad Kalendas Graecas, jak się okazało. Na wszelki jednak wypadek w szkole oświadczyłem, że idę na politechnikę, na architekturę. To się zgadzało z ówczesnym pędem (przy czym na architekturze był wtedy trend techniczny, a nie artystyczny). Papiery poszły, tajnie opiniowane, jak wszędzie wtedy, przez szkołę i Związek Młodzieży Polskiej (mimo że do ZMP nie należałem). A poszedłem na studia na Katolicki Uniwersytet Lubelski, by na razie wybrać filozofię, jako pewne przedłużenie moich rozmaitych zainteresowań (z marynistycznymi włącznie – inspirowanymi wspomnieniami z Archangielska), by lepiej przygotować się życiowo i światopoglądowo do egzystowania w ówczesnych warunkach, a potem wybrać ewentualnie coś jeszcze, może bardziej praktycznego. I tak zostałem na filozofii, na którą się zapisałem. Przyjmował mnie jeszcze ks. Józef Pastuszka, niebawem z Lublina relegowany (ojciec mój go znał, nie bardzo wiedziałem skąd). Gdy zapytał mnie, co zamierzam robić po studiach, odpowiedziałem trochę buńczucznie i na wyrost: ostatecznie pójdę do łopaty z dyplomem (zrealizował to poniekąd mój kolega, Jan Bardan, o którym niedawno pisałem¹).

Zapisałem się na sekcję praktyczną, bo to brzmiało wtedy jakoś lepiej, mniej odstraszało niż filozofia teoretyczna. Zresztą dominowała na niej wówczas filozofia moralna, z którą miałem poniekąd do czynienia w tradycji domowej (być może także pod wpływem mojego stryja Kazimierza, później-

¹ Zob. S. Majdański, *Okolicznościom się nie kłaniał: Jan Bardan (1933-2015) – etyk, uczeń Feliksa W. Bednarskiego i Karola J. Wojtyły*, „Sumarium” 44(2015), s. 27-38.

szego biskupa). Chętnie chodziłem na zajęcia do o. Feliksa Bednarskiego, dominikanina, kontynuującego tradycję o. Jacka Woronieckiego, którego mój ojciec bardzo cenił (z wzajemnością). Wiele zawdzięczam ojcu Bednarskiemu, a także innym. Sekcją filozofii praktycznej kierował Jerzy Kalinowski, teoretyk filozofii praktycznej, etyk, logik, z pierwotnego wykształcenia i nadań filozof prawa, niesłuchanie zdyscyplinowany i ideowy.

Na Wydziale Filozofii panowała wyjątkowo prologiczna atmosfera, na tle dobrej historii filozofii (z tomizmem jako akcentem), była też psychologia (domagająca się wciąż pewnej emancypacji) i nabierająca z czasem znaczenia metafizyka (temperamentny, że tak powiem, o. Mieczysław Albert Krąpiec, reprezentant tomizmu egzystencjalnego typu maritainowskiego, zwłaszcza gilsonowskiego, zwał się czasem tomistą precyzującym, ale nie w duchu logiki, lecz wierności bytowi i jego promotorowi Tomaszowi z Akwinu). Przeszedłem na wydziale wszystkie treningi, potracając nawet o wątek filozofii przyrody. Ale przede wszystkim był to ciąg: filozofia praktyczna z etyką na czele (nie, jak później, socjologią), logika tak czy inaczej pojęta, z jej różnymi działami: logiką formalną, semiotyką i metodologią nauk, aż po prakseologię i naukoznawstwo, poprzez metafizykę i to, co z nią ściślej związane, a później znów etyka, tym razem w związku z tym, co zostawił Jan Paweł II (tu odnotuję nazwisko oryginalnego etyka, jakim był ks. Tadeusz Styczeń).

Szczególnie przydał mi się trening logiczny, w badaniach i w dydaktyce – w logice miałem braki (i mam je nadal). W swoim czasie, w latach po moim przybyciu na KUL, działali w tym zakresie ks. Józef Iwanicki, który po uwieszeniu ks. Antoniego Słomkowskiego został rektorem (inaczej niż poprzednik ratował uniwersytet – dyplomatycznie i „prologicznie”), Jerzy Kalinowski (wsławił się wszechstronnością i konwersatorium metafizycznym, przedsięwzięciem ochotniczym, i współtworzeniem logiki zdań praktycznych, „deontycznej”) oraz ks. Antoni Korcik, z zamiłowania historyk logiki i wielki oryginał. Swoim krytycyzmem i inteligencją brylował młody ks. Stanisław Kamiński, który znakomicie, imponując, wykładał logikę formalną dla „praktyków”, stąd poznałem go wcześniej. Od drugiego roku byłem już na sekcji teoretycznej, po radzie z Kalinowskim, który na to przystał, mimo że był kierownikiem i „ideologiem” sekcji praktycznej (wielką jego zasługą jako dziekana były starania, by zachować jak najwięcej ze zlikwidowanego przez władze Wydziału Prawa i Nauk Społeczno-Ekonomicznych).

Pod kierunkiem Kamińskiego napisałem magisterium, z nachyleniem na problematykę semiotyczną, której się odtąd specjalizacyjnie trzymałem, choć nie bez innych odniesień. Studia ukończyłem w roku 1957. Potem uzyskałem doktorat („Problemy asercji zdaniowej”²). Rozprawę habilitacyjną naszkico-

² Zob. t e n ż e, *Problemy asercji zdaniowej. Szkice pragmatyczne*, Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 1972.

wałem, ale jej nie ukończyłem (powstało potem z tego kilka moich artykułów), a nadania tytułu doktora habilitowanego na innej podstawie mi odmówiono (rektor nie podjął tej decyzji, odsyłając sprawę, wraz z kilkoma innymi wnioskami, do senatu, który wszystkie rozpatrzył negatywnie). W tej swoistej monokulturze bez awansu uniwersyteckiego nie potrafiłem się do końca odnaleźć, w czym moja wina (choć nie tylko), jak to jako naukowiec oceniam.

W czasie mojej pracy badawczo-dydaktycznej (tej ostatniej głównie, do czego powołany jest w końcu uniwersytet: obok badań „wysokich”, także do dydaktyki „wysokiej” – tak twierdzę, choćby inni twierdzili inaczej) byłem czynny we wszystkich trzech składowych szeroko pojętej logiki: w logice formalnej (najmniej), w semiotyce (najbardziej, także w jej sąsiedztwie) oraz w metodologii nauk i w związku z nią, w szczególności w ramach metodologii filozofii i w semiotyce filozofii (jak i filozofii semiotyki). Było w tym wszystkim jakieś nachylenie historyczne (poniekąd z natchnienia szkoły zwącej się „lubelską szkołą filozoficzną”).

Swoich zajęć starałem się nie prowadzić standardowo, zgodnie – jak powiadają – z moim charakterem, będąc czasem dygresyjny. Miałem spory wpływ na młodzież (jak i kolegów), choć niesformalizowany, jako że zazwyczaj, w ramach zasadniczej wierności „szkole”, nieco odbijałem od jej ujednoliconej standardowo linii. Uważałem, że trzeba tradycję kontynuować, ale w miarę możliwości twórczo i – użyłem już tego sformułowania – zgodnie ze swoim charakterem, choć jeśli trzeba, ów charakter poświęcić na rzecz prawdy. gdyby trzeba było dokonać odnośnego wyboru.

Jestem szczerze wdzięczny Uniwersytetowi i Wydziałowi Filozofii za wszystko, co tu otrzymałem, a nie mógłbym otrzymać gdzie indziej. Jestem wdzięczny wszystkim moim Mistrzom i kolegom, a także – jeśli tak się mogę wyrazić – uczniom (co do Mistrzów, to czasem byli oni spoza Uniwersytetu, poznani osobiście lub z lektury; gdy chodzi o bezpośrednie kontakty, wymienię tu tylko dwa nazwiska: Jana Franciszka Drewnowskiego i Andrzeja Grzegorzczaka)³.

FILOZOFIA W STRUKTURZE UNIwersYTETU

Środowisko – w tym wypadku filozoficzne czy może przynajmniej filozoficzne – tworzą różne elementy. Na pewno osoby, osobowości, a także

³ Stanisław Majdański związany był z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim od roku 1952, kiedy rozpoczął studia, do roku 2010, gdy przeszedł na emeryturę, ale żywe kontakty z uczelnią utrzymywał do końca życia, współpracował także z Instytutem Jana Pawła II i z redakcją „Ethosu”. Zawsze był wierny swemu Uniwersytetowi, ani godziny swojej aktywności zawodowej nie poświęcił innemu pracodawcy.

struktury, idee w nim głoszone, oryginalne, choć nie tylko. To wszystko wytwarza jakąś więź poprzez intergeneracyjnie osiąganą tradycję. W tych zakresach były duże osiągnięcia, choć zapowiadało się na coś więcej. Zdarzały się i zdarzają regresy. Nie wszystko, co zamierzone, zostało osiągnięte. Czasem coś „ucięto” zanim się rozwinęło, mimo że były szanse, by rozwinąć „zadatki”, wypracowane lub niejako samonarzucające się, jakby skądinąd.

Szczególnie Katedra Metodologii Nauk obfitowała w różne, na ogół niezrealizowane pomysły, także dotyczące statutu wydziału i związanego z nim środowiska filozoficznego, powiedzmy ostrożniej – okołofilozoficznego. Niekiedy trzeba powiedzieć: szkoda. A w zakresie badań i studiów wydział pomyślany był doskonale, chyba w wyniku doświadczeń skądinąd, głównie zapewne ze Lwowa, a wcześniej z Louvain, bo na mocy idei stamtąd wiejących – a idee też tworzą środowisko – powstał nasz Uniwersytet, także nasz wydział: Wydział Filozofii, Wydział Filozoficzny, Wydział Filozofii Chrześcijańskiej (co do różnych nazw wydziału – przydałaby się osobna refleksja).

Odnotujmy tu tylko „z rozpędu” i szkicowo kilka pomysłów, zasygnalizujmy je. W sumie dotyczą one struktury i funkcji wydziału, a pośrednio osób i głoszonych przez nie idei, bo wszystko, co składa się na środowisko, jest w nim organicznie powiązane, także takie elementy, jak na przykład biblioteka czy jednoczące zespół funkcje – powiedzmy – rekreacyjne, obecne w środowisku mądrze pomyślanym i realizowanym, rozwijającym się twórczo.

Ważna jest nawet sama nazwa wydziału, dobrze się kojarząca, napędzająca ideowo rozwój. Weźmy na przykład nazwę wyjściową – Wydział Filozofii Chrześcijańskiej, pozytywnie naładowaną, ale też wzbudzającą nieporozumienia i dyskusje, także pod wpływem otoczenia z zewnątrz: ideowego, światopoglądowego, politycznego. Bo filozofię można wyizolować z całości kultury, ale czy trzeba, cui bono? Co naprawdę filozofii służy: wyizolowanie, autonomia tak czy inaczej pojęta? Mamy tu dwa klasyczne dążenia, powiedzmy, takie jak we Francji, do filozofii zanurzonej nawet w politykę, i w Anglii, gdzie jest ona – zda się programowo i w praktyce – z tego wyizolowana (wtedy, jeśli są związki filozoficzno-niefilozoficzne, to zapośredniczone, zrealizowane łagodniej, w anglosaskiej kulturze).

W kwestii „filozofii chrześcijańskiej” była cała dyskusja w Europie przed wojną, u nas powtórzyło się to specyficznie już po wojnie, w innej sytuacji, w warunkach inwazji ideologicznej komunizmu, marksizmu. Były różne, dość proste rozwiązania, jak i skomplikowane niuanse warte szczegółowszego omówienia, choć w prostszym ujęciu obecna tu dialektyka konfrontacji ideowej dość łatwa jest do przedstawienia, a przynajmniej zasygnalizowania. Po obu stronach barykady istniało „za” i „przeciw” nazwie z przydawką „chrześcijańska”, w całkiem odwrotnych intencjach, choć pozornie tak nie było. Sytuacja przedstawiała się podobnie jak z prześladowaniem Kościoła w konfrontujących

się z nim krajach: oto zakazywano lub nakazywano duchownym noszenie ubiorów ich wyróżniających, by ich wszędzie rozpoznawać lub napiętnować, by uniemożliwić im demonstrację religijną lub ukryte, niekontrolowane działanie. A po stronie przeciwnej, kościelnej? Tu było analogicznie, tyle że w przeciwną stronę: jedni starali się o demonstracyjną obecność, inni stosowali metodę mimikry.

W stosunku do filozofii na uniwersytecie katolickim, ze strony przeciwnej usiłowano najpierw ją „laicyzować”, jakby okazując, że chrześcijaństwa w tym względzie już nie ma. Odwrotna taktyka czy strategia, finalnie w tej samej co do intencji tendencji, polegała na tym, by zezwolić na przymiotniki „fideistyczne”, w ramach czasowego zezwolenia na istnienie „ciemnogrodu” i napiętnowanie filozofii jako kryptoteologii, a nawet religii (zatwierdzano nawet nadawanie habilitacji jako teologicznych). Powodowało to w niektórych umysłach spore zamieszanie. Zwolennicy nazwy „Wydział Filozoficzny” mogli być posądzeni o swoistą kolaborację, z kolei ci, którzy demonstracyjnie, a zarazem w celu przetrwania na zasadzie legalnego „ciemnogrodu”, godzili się nawet na „magistra filozofii chrześcijańskiej” czy „socjologa chrześcijańskiego”, mogli być posądzeni o rodzaj fideizmu czy irracjonalizmu, potwierdzającego nieracjonalność, nienaukowość takiej filozofii.

A pomysłów na nazwy wydziału mogło być więcej. Na przykład szeroka nazwa zakresów – nawet mimo twierdzenia, że sedno filozofii jest metafizyczne czy etyczne (w sensie etyki normatywnej) – „Wydział Nauk Filozoficznych” pozwala na umieszczenie w ramach wydziału nauk już mało filozoficznych, jak socjologia, psychologia czy pedagogika, choć w istocie ich związki z filozofią właściwą pozostają ekstremalne. Filozofia jest tu na czele, ale w sensie panowania ładnej królowej, z korzyścią, jak się zdaje, i dla niej, i dla nauk jakby „podwładnych”, ale względnie zaautonomizowanych. Taką nazwę przyjęto w Louvain-la-Neuve (mniej o jej tam „wykonanie”, które można i trzeba dyskutować).

Z kolei inna nazwa, jakby rodem z Nijmegen: „Ogólny Interfakultet”, jakże jest ciekawa dla filozofii samej i nie tylko, zwłaszcza w dzisiejszej epoce interdyscyplinaryzmu potracającej o postmodernistyczny chaos – bo interdyscyplinaryzm bywa interesujący tam, gdzie występuje jeszcze świadomość interdyscyplinarnych różnic, a nie chaotyczny – bez tej pamięci – melanz, „Mischung”. Teraz wypada jakoś wracać do idei autonomii dyscyplin, choć względnej, z możliwością interdyscyplinarnych transferów. Filozofia, jak mało która dyscyplina, nadaje się na „ogólny interfakultet” w dobrym wykonaniu. Obecnie którakolwiek z dyscyplin może do tego pretendować, byleby zyskać na karierze – nawet osławiona „kosmetologia”, nie mówiąc o socjologii, psychologii czy humanistyce lub informatyce – to dzieje się na naszych oczach, te dyscypliny usiłują pełnić funkcje (para)filozoficzne.

Był projekt, by nazwać wydział „Wydziałem Filozofii i Nauk o Człowieku”, tak by można było przynajmniej niektóre dyscypliny dawniej i wciąż jeszcze

dzisiaj (ale w inny sposób) skupić wokół filozofii właściwej (czystej, „ściślej”, jak mawiano dawniej, gdy doktoraty czy habilitacje nazywano szerzej filozoficznymi, poza tymi z prawa, medycyny i teologii). Tak czy inaczej, cóż by to szkodziło komukolwiek – co więcej byłoby pożyteczne, gdyby zgromadzić na wydziale filozoficznym na przykład psychologię (niechby i empiryczną w dominancie), socjologię, pedagogikę czy także nauki o religii, jak to jest na przykład w Krakowie (po oddzieleniu się wymienionych, razem z filozofią we właściwym znaczeniu, z logiką w dodatku, od nauk historycznych, bo jeszcze długo po drugiej wojnie był tam Wydział Filozoficzno-Historyczny). U nas z różnych powodów działał kompleks emancypacyjny, może prawem pewnego neofityzmu czy noworysyzmu, mniejsza o nazwy.

Prosta była idea – może zbyt prosta – by zorganizować badania i studia wokół zakładów, wydzielonych na wyrost od początku istnienia wydziału (gdy nie był jeszcze podzielony na sekcję teoretyczną i praktyczną): historii filozofii, logiki i teorii poznania oraz metafizyki z teodyceą (i później z teorią poznania), etyki z filozofią prawa (rozwojowo z dodaniem antropologii). Niewiele z tego wyszło, może nie było warunków politycznych, co więcej, rzeczony zakłady zlikwidowano, właściwie nigdy nie wypełniły swej funkcji poza biblioteczną. A całość dendrytu organizacyjnego wydziału była ciekawa i rozwojowa: sekcje (nazwę „instytuty” z trudem wprowadzano, sugerując się negatywnymi peerelowskimi skojarzeniami, nie widząc pozytywnych), zakłady, katedry (choć przy niekonsekwencji organizacyjnej było tu zamieszanie), pracownie (na przykład fizyki czy biologii, gdy nie było odnośnych struktur wydziałowych z racji politycznych, ideologicznych, ponieważ uniemożliwiano KUL-owi rozwijanie nauk pozytywnych, użytecznych, podobnie jak prawa, ekonomii, rolnictwa czy medycyny).

Z perspektywy lat widać, że wielką niezręcznością było nieskorzystanie z propozycji przeniesienia – po reaktywacji – pedagogiki na filozofię. Dałoby to filozofii pewną liczbę słuchaczy (studia czysto filozoficzne zawsze miały ich niewielu, zawsze były „przy czymś” albo też pod flagą filozofii gromadziły się dyscypliny związane z nią czy jej pokrewne lub eksfilozoficzne historycznie – przed wojną na KUL-u w ramach sekcji filozoficznej studiowało zaledwie trzydzieści osób, wykładowcy zaś „żyli” z obsługi różnych wydziałów na uczelni) i szansę naturalnej transmisji filozofii na inne dziedziny.

I tak się stało, że nie przeniesiono pedagogiki [na filozofię – K.M.] na uczelni, na której drugim historycznie rektorem był Jacek Woroniecki, realizator idei katolickiej etyki wychowawczej, a jego ideowi następcy głosili ścisły związek etyki i pedagogiki. Zresztą związek taki dostrzegał też ktoś inny, filozof i pedagog o tradycjach nietomistycznych, lecz kantyżujących, pochodzący z Rosji, a pracujący w Warszawie Sergiusz Hessen. W epoce amerykańizmu można by wziąć wzór z USA, gdzie wydziały „filozofii i wychowania” funk-

cjonują nawet w zwyczajnych koledżach (Amerykanie przejawiają w tym zwykły dla nich zmysł praktyczny; mniejsza o poziom wykonania, bo z tym jest różnie). Dodajmy, że w swoim czasie projekt ten, praktycznie naukoznawczy, zgłoszony z naszego środowiska metodologiczno-naukoznawczego, przydałby rangi samej pedagogice, reprezentującej wtedy nie najwyższy poziom (w tym kierunku skłaniałaby się odchodząca już z uczelni prof. Teresa Kukołowicz).

Innym ciekawym projektem było umieszczenie filozofii w ramach wydziału studiów dziennikarskich ze specjalnością dziennikarstwa światopoglądowego na odpowiednim uniwersyteckim poziomie. Mniej udana była propozycja studiów politologicznych (i tym samym badań na uniwersyteckim poziomie, bo dydaktyka „wysoka” zakłada zawsze badania), ponieważ w ramach rozkładu wydziałów i ich instytutów do objęcia tego kierunku upoważniony byłby raczej wydział prawa. Studia dziennikarskie – tu też byłyby szanse spopularyzowania naszej szkoły filozoficznej – zrealizował jako odrębne, a potem na Wydziale Nauk Społecznych (który skupił socjologię przeniesioną z filozofii, ekonomię ze zlikwidowanego Wydziału Prawa i Nauk Społeczno-Ekonomicznych – zresztą i na nim przed filozofią była socjologia – oraz psychologię z Wydziału Filozofii) Leon Dyczewski.

Rejestrując pomysły dotyczące wydziału filozoficznego, wspomnijmy tytułem wybijających się przykładów (zapomnianych) jeszcze trzy. Pierwszy z nich wyłaniał się z pewnych idei ojca Bednarskiego, z których on sam po latach niezbyt jasno zdawał sobie sprawę (przeniósł się wcześniej do Angelicum). Ten wiernie trzymający się tomizmu dominikanin, chciał ten kierunek zmodernizować także pod względem języka, jego uwspółcześnienia (taką myśl nasuwały słuchaczom jego zajęcia). Bednarski postulował utworzenie czegoś w rodzaju instytutu nauk moralnych, z filozofią moralną – jeśli nie teologią – na czele, obejmującego cały zestaw nauk o moralności (przypomina to nieco francusko-angielską tradycję „moral science”).

W okresie, gdy przychodziła do nas z Zachodu idea swego rodzaju antropologizmu, mieliśmy „w powietrzu” (czemu dałem wyraz [zgłaszając projekt na Radzie Wydziału – K.M.] coś w rodzaju instytutu w sensie badawczo-dydaktycznym (jak na uniwersytet przystało) nauk antropologicznych, projekt pokrewny temu, co nazwałbym ideą Bednarskiego, ale pod nieco inną flagą, o innym nachyleniu. Było to w czasie pewnego rozpędu naukowego Krapca, współpracującego już z Kamińskim, i za rektorowania ks. Wincentego Granata, który zdawał się zmierzać w podobnym kierunku. Uniwersytet z racji zewnętrznych nie miał wielu szans na rozwinięcie tej idei, ale nawet wewnątrz okazało się, że jest tu więcej rywalizacji niż współpracy (chodziło, jak się wydaje, o autoryzowanie tej idei, nic więc na szerszą skalę z tego nie wyszło, a entuzjazm i pewna moda minęły – to wtedy dało się słyszeć, że teologia jest właściwie nauką o człowieku, co powiało z Zachodu, mniejsza tu o szczegóły i że tak powiem o ortodoksję tej idei, o jej rozumienie).

I ostatnia, trzecia już idea, która wykluła się w naszym środowisku filozoficznym, metafizycznym. Chodzi o naukoznawstwo, o zorganizowane badania i studia w tym względzie, podjęte w środowisku jak się zdaje wyjątkowo dobrze do tego przygotowanym. Zaproponował tę ideę, zarysował w pewnym zakresie i profilu piszący te słowa; może od początku była ona dyskusyjna, ale wydawała się atrakcyjna. Zapoczątkowało się to i niestety zgasło. Może zabrakło entuzjazmu? Może zaowocowałoby gdzie indziej? U nas mimo pewnej nieufności przygotował grunt do tej idei Stanisław Kamiński, gdy wraz z o. Romualdem Gustawem, dyrektorem biblioteki głównej KUL, zorganizował konwersatorium dyskusyjne i dokształcające w celu melioracji katalogu systematycznego.

Powstał ciekawy zespół, zatwierdzony przez ówczesnego prorektora Stanisława Papierkowskiego, miałem zaszczyt do niego należeć, wiele się wtedy nauczyłem. Myśli Kamińskiego dotyczyły nauki w ogóle, a w szczególności użytecznej praktycznie klasyfikacji-typologii nauk. Wysunął wtedy dwie ciekawe idee: po pierwsze, koncepcję dyscyplin religiozologicznych, w tym także teologii religii; po drugie, koncepcję dyscyplin ogólnych (formalnie lub merytorycznie), które doniosłe są w dyferencjacji – interakcji nauk (i jak stwierdziliśmy potem, w konstrukcji pewnego modelu samego naukoznawstwa).

To było swoiste konwersatorium (meta)naukoznawcze. Sam Kamiński uczestniczył w takim konwersatorium, metafizycznym, założonym jeszcze przez Kalinowskiego (które potem kilka razy odżywało, głównie pod jego batutą, ale i Antoniego Bazylego Stępnia). To konwersatorium egzystowało na wydziale, ale całkiem prywatnie. Trzecie takie konwersatorium było – że tak powiem – metahumanistyczne (choć inaczej się nazywało). Zorganizowali je prof. Czesław Zgorzelski z humanistyki i Stanisław Kamiński. Miało charakter samokształceniowo-dyskusyjny, z referatami Kamińskiego. Samą tę ideę wspomagały oddolnie dwie osoby: Marian Maciejewski z Wydziału Humanistycznego i piszący te słowa, do tego się przyznający. Zgorzelski był ciekawą postacią, podobnie jak Irena Sławińska pochodził ze środowiska wileńskiego. Był pedantyczny, szczegółowy i badawczo wysoce zorganizowany, idący śladem wileńskiego strukturalizmu (Manfreda Kridla). Brakowało mu nieco szerszych metanaukowych rozważań, te znalazł u rozumiejącego potrzeby humanistyki Kamińskiego, który na uniwersytecie na co dzień chętnie i bezinteresownie służył pomocą, pełniąc praktycznie funkcję metodologicznego doradcy w zakresie jakiegoś niesformalizowanego (a szkoda!) konsultingu.

Szkoda, że inicjatywy tego typu, jak konwersatorium metafizyczne, wygasły. Pozostawiły jednak – jakby anonimowo – niezatarty ślad w środowisku, które w swoim czasie naukowo stało wysoko, tak że nie mogli się go pod tym względem „czepiać” marksiści (którzy w pewnym okresie zwalczali logikę, preferując to, co nazywali dialektyką, i starali się wyprzeć w ten sposób i neopozytywizujących reprezentantów czy kontynuatorów szkoły lwowsko-

warszawskiej, i spadkobierców scholastyki. Na dłuższą metę nie mieli w tym powodzenia, ale narobili wiele szkody.

Omawiane tu inicjatywy były w dużej mierze wyrazem czystego zainteresowania, realizowały się w postaci pracy społecznej, co jest godne podkreślenia, aczkolwiek meliorowały środowisko dydaktycznie i naukowo. Podkreślamy to dziś, gdy obserwujemy ową pogoń za grantami, za punktami (wszechobecna punktometria i orientacja ekonomiczna, postmodernistyczne pomieszczenie w tym względzie przyczyny i celów, jak by powiedział Krapiec), za rankingami. Być może znów dojdzie do elementów badań i studiów bezinteresownych (względnie, bo z czegoś żyć trzeba); pieniądze wszak nie są celem badań, lecz środkiem.

Rysuje się dziś nowy podział uczonych (nie naukowców, ci są w zakresie nauk praktyczno-technicznych). Jedni otrzymują takie czy inne gaże, inni wypowiadają się naukowo czy dydaktycznie „za zero”, a jeszcze inni dopłacają za to, że pracują [na przykład, żeby się dostać na staż czy publikując swój dorobek na własny koszt – K.M.].

ABSTRAKT / ABSTRACT

Stanisław Majdański – Jak się widzę, jak się pamiętam

DOI 10.12887/37-2024-4-148-17

Tekst przedstawia curriculum vitae Stanisława Majdańskiego, jego doświadczenia sybirackie z czasów dzieciństwa, studia i pracę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, oraz projekty dotyczące miejsca filozofii w strukturze tegoż uniwersytetu.

Słowa kluczowe: deportacje na Syberię, Katolicki Uniwersytet Lubelski, wydziały filozoficzne, logika

Tekst opracowany przez Kazimierę Majdańską na podstawie rękopisu męża (z ok. 2015-2018 roku) znajdującego się w archiwum domowym.

Kontakt: Instytut Jana Pawła II, Wydział Filozofii, Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II, Al. Raławickie 14, 20-950 Lublin

E-mail: lpol@wp.pl

Tel. 81 4453217

Stanisław Majdański: It Is How I See Myself, It Is How I Remember

DOI 10.12887/37-2024-4-148-17

The paper presents Stanisław Majdański's *curriculum vitae*, his childhood experience of being a Siberian deportee, his studies and work at the Catholic

University of Lublin, as well as his projects concerning the place of philosophy in the structure of this university.

Keywords: exile to Siberia, Catholic University of Lublin, departments of philosophy, logic

The text has been prepared by Kazimiera Majdańska on the basis of her husband's manuscript (ca. 2015–2018) kept in the family archive.

Contact: John Paul II Institute, Faculty of Philosophy, John Paul II Catholic University of Lublin, Al. Raławickie 14, 20-950 Lublin, Poland

E-mail: lpol@wp.pl

Phone: +48 81 4453217